

TEMAT MIESIĄCA: CZY NAPRAWDĘ JEST NAS ZA DUŻO?

Przeciętna Chinka rodzi więcej dzieci niż statystyczna Polka, Włoszka, Litwinka – prawda czy fałsz? Co wiemy o demografii świata? Czy powinniśmy bać się przeludnienia czy raczej zbyt małego przyrostu naturalnego populacji świata?

- 10 Przyrost nienaturalny, *Szymon Szczęch*
16 Pułapka danych statystycznych, *Katarzyna Górak-Sosonowska*
22 Kraina małych cesarzy, *Z prof. Bogdanem Góralczykiem rozmawia Marzena Zdanowska*
26 Skansen „Europa”, *Marzena Zdanowska*

DEBATY

W Turcji w pierwszym dziesięcioleciu XXI w. liczba zabójstw honorowych wzrosła czternastokrotnie. W jaki sposób Turczynki walczą o swoje prawa? Czy nowe pokolenie będzie początkiem zmian?

- 34 Nadgryzione jabłka, *Marta Zdzieborska*
40 Emancypacja bez korzeni, *Joanna Bocheńska*
48 Potomkowie chłopów – wolni od kultury, *Tomasz Rakowski*
56 Kryzys Europy, *Timothy Garton Ash*

IDEE

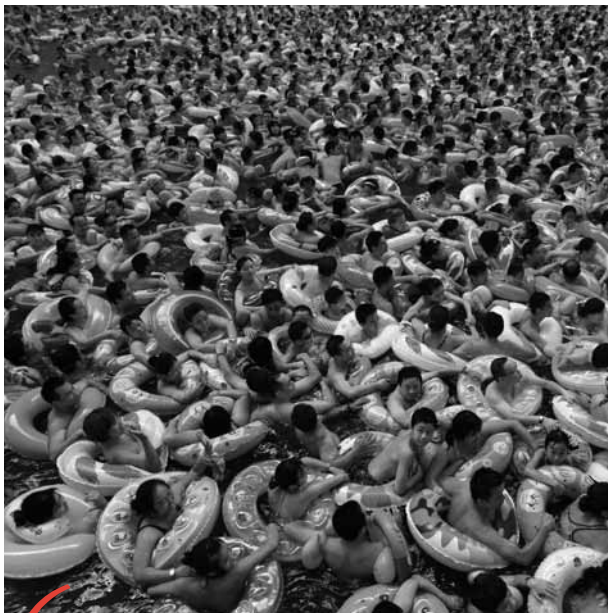
Konflikty są naturalną częścią naszego życia społecznego. Jak sobie z nimi radzić? Zdaniem Ramina Džahanbeglu najlepszym rozwiązaniem jest działać bez przemocy

- 66 Non violence szansą pojednania?, *Z Raminem Džahanbeglu rozmawia Adam Puchejda*
69 Polki ratujące Żydów, *Joanna B. Michlic*
74 W świetle świtu, *Jan XXIII*

LKZ

Alternatywne wizje wydarzeń dziejowych snują dziś nie tylko pisarze science fiction, ale i zawodowi historycy. Jedni uważają takie rozważania za bezcelowe i jałowe, inni twierdzą, że to klucz do zrozumienia zasad, jakimi rządzi się historia. Cemu może służyć pisanie na nowo losów świata?

- 92 Której nie było, *Michał Cetnarowski*
96 Historie, które się nie wydarzyły, *Michał Cetnarowski*
98 Lepiej być nie może?, *Jakub Muchowski*
102 Obywatel Turowicz, *Janusz Poniewierski*
106 Ku nadziei, *Jerzy Turowicz*
108 Pamięć i rodowód, *Jerzy Turowicz*
110 Świecki kaznodzieja, *Lukasz Garbal*
113 Reporter elegijny, *Paweł Rogala*
118 Kartki z kalendarza, *Michał Staniszewski*
119 Werbigieracje, degeneracje, szaleńcze narracje, *Bernadeta Prandzioch*
122 A-pop-kalipsa, *Bartosz Szurlik*



6 CZY NAPRAWDĘ JEST NAS ZA DUŻO?

STAŁE RUBRYKI

- 30 Józefa Hennelowa: Coraz bliżej albo Coraz mniej
79 Janusz Poniewierski: Ogrody Pamięci
101 Marek Skwarnicki: Biblioteczka Pustelnika
120 Jerzy Illg: Mój przyjaciel wiersz



32 TURCJA. PLAMY NA HONORZE



92 ZUPEŁNIE INNA HISTORIA

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K
ul. Tadeusza Kościuszki 37, 30-105 Kraków
tel. (12) 61 99 530, fax (12) 61 99 502
www.miesiecznik.znak.com.pl
e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

REDAKCJA: Marta Duch-Dyngosz, Dominika Kozłowska (REDAKTOR NACZELNA), Janusz Poniewierski, Adam Puchejda, Justyna Siemieniowicz, Marcin Sikorski, Krystyna Strączek, Karol Tarnowski, Magdalena Wojacek (sekretarz redakcji), Henryk Woźniakowski, Marzena Zdanowska

ZESPÓŁ: Wojciech Bonowicz, Bohdan Cywiński, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Jarosław Gowin, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Józefa Hennelowa, Wacław Hryniewicz OMI, Piotr Kłodkowski, ks. Jan Kracik, Janina Ochojska-Okońska, bp Grzegorz Ryś, Marek Skwarnicki, Władysław Stróżewski, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski

WSPÓŁPRACA: Paulina Bulska, Agnieszka Goławska, Elżbieta Kot, Cezary Kościelniak, Jolanta Prochowicz, Miłosz Puczyłdowski, Szymon Szczęch

OPIEKA ARTYSTYCZNA:

Władysław Buchner

PROJEKT OKŁADKI:

Władysław Buchner

PROJEKT GRAFICZNY PISMA:

Marek Zalejski/Studio Q

PRODUKCJA:

Barbara Gąsiorowska, Urszula Horecka, Joanna Zdanowska

DRUK: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16

REKLAMA: Marcin Sikorski, tel. (12) 61 99 530, e-mail: sikorski@znak.com.pl

PRENUMERATA: Joanna Dyląg, tel. (12) 61 99 569, e-mail: dylag@znak.com.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń. Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



ILUSTRACJA OKŁADKOWA:
JULIAN CALVERLEY/CORBIS/FOTOCCHANNELS



Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu operacyjnego „Promocja czytelnictwa. Rozwój czasopism kulturalnych”



DOMINIKA KOZŁOWSKA

Fakty i wartości

Statystyka staje się dziś jednym z podstawowych narzędzi opisu kierunków społecznych i jednostkowych przemian. Co zatem mówią nam liczby na temat stanu rodzaju ludzkiego? Nie będę tu oczywiście szczegółowo referować danych, te odpowiednio wnikliwie omawiają w styczniowym temacie miesiąca Marzena Zdanowska i Szymon Szczęch. Pragnę jedynie zwrócić Państwu uwagę na fakt, iż uwaga specjalistów, a za ich sprawą również i opinii publicznej, koncentruje się zazwyczaj na trzech danych: liczbie ludności zamieszkującej naszą planetę, liczbie ludności zamieszkującej Europę, wartości procentowej przyrostu naturalnego w różnych częściach świata. Szacunki dotyczące tego „jak jest?” oraz „jak było?” są zwykle punktem wyjścia do pytania: „jak będzie?”. To zaś w nieuchronny sposób konfrontuje nas z kwestią: „jak być powinno?”.

Przyglądając się toczonym dziś debatom dotyczącym stanu demograficznego świata, dostrzegamy, że te dwie kwestie: „jak będzie?” i „jak być powinno?”, są tak silnie splecione, że tracimy nieraz z oczu to, iż przynależą one do różnych porządków myślenia. O ile na gruncie nauk szczegółowych możliwe jest szukanie odpowiedzi na to pierwsze pytanie (mając oczywiście na uwadze, że poruszamy się w horyzoncie prawdopodobieństwa, a nie pewności), o tyle to drugie przynależy do porządku aksjologicznego. Odpowiedź na pytanie o relację pomiędzy faktami a wartościami nie jest tak oczywista, jak mogłoby się zdawać, patrząc na przebieg toczonych dziś dyskusji o wyzwaniach demograficznych. Choć matematyka jest królową nauk, to jednak w odniesieniu do spraw ludzkich przyglądanie się samym liczbom z pewnością nie jest wystarczające. Umiejętność myślenia według wartości, by posłużyć się sformułowaniem ks. Józefa Tischnera, jest równie ważnym, o ile niekiedy nie ważniejszym od nauk szczegółowych, narzędziem rozpoznania rysujących się przed nami zagrożeń i szans.

Tę krótką refleksję czynioną na marginesie styczniowego tematu miesiąca piszę w czasie smutnym dla mnie i dla całego miesięcznika „Znak”. W tych dniach żegnamy bowiem śp. prof. Jacka Woźniakowskiego – naszego duchowego ojca, założyciela SIW Znak. W tym numerze znajdują Państwo wspomnienia o nim, kreślone m.in. piórem prof. Karola Tarnowskiego. W najbliższych miesiącach będziemy wielokrotnie wracać do jego myśli w przekonaniu, że twórczy dialog jest nie tylko formą pamięci, ale i szansą na lepsze zrozumienie naszego świata.

Styczniowy „Znak” przynosi nowy projekt okładki pisma. W ślad za nim za kilka miesięcy nastąpi korekta wnętrza. W czerwcu 2011 r. zaproponowaliśmy Państwu zmianę formuły miesięcznika z książki na magazyn. Jej przychylne przyjęcie zachęciło nas do postawienia kolejnego kroku, pozwalającego w bardziej adekwatny sposób wyrażać treści zawarte w piśmie.

Czy naprawdę jest nas za dużo?



Szacunki mówiące, że ludzi na świecie może być kiedyś zbyt dużo, a w Polsce już niebawem zbyt mało, są dobrze znane. Ale czy można tak naprawdę określić, ile nas być powinno? Co miałyby wyznaczać pożądaną liczbę narodzin w statystycznej rodzinie, w kraju, w skali globu? Czy dzietność należy podporządkować gospodarce?

Lęki związane z demografią przyjmują wiele form – od zbyt niskich wpływów ze składek ubezpieczenia społecznego w Polsce, po brak dostępu do podstawowych zasobów, takich jak woda, w krajach Afryki. Tylko czy te problemy można rozwiązać określoną liczbą dzieci? Pytając nieco przekornie – jaka liczba ludności zapewni nam szczęście?

Chińscy entuzjaści wodnej zabawy czekają na przyływ sztucznej fali na basenie ze słoną wodą zwanym „Chińskim Morzem Martwym”, w mieście Daying w prowincji Syczuan. Tego lata basen odwiedziło ponad milion turystów | FOT. ZHONG MIN/EPA/PAP

Przyrost nienaturalny

SZYMON SZCZĘCH

W kontekście zagrożeń wynikających z osiągnięcia przez populację Ziemi liczby 7 mld „National Geographic” promował hasło: „Nie potrzebujemy przestrzeni, lecz równowagi”. Parafrazując, można powiedzieć: nie potrzebujemy równowagi, lecz sprawiedliwości i solidarności. Dziś mamy nie zbyt wielu ludzi, tylko zbyt wielu zbyt rozpasanych konsumentów. Jeśli trzeba ograniczać liczebność, to tych ostatnich, nie pierwszych

31 października 2011 r. – tego dnia według szacunków ONZ na świat przyszedł siedmiomiliardowy człowiek. Jak zwykle przy takich wydarzeniach bywa, powstała kontrowersja, w którym kraju urodził się wyjątkowy noworodek. Na Filipinach na malutką Danicę czekały fajerwerki, tort czekoladowy z napisem „7B Filipiny” i bon na buty. W Indiach świętowano narodziny Nargis, na Kamczatce Aleksandra, a w Kaliningradzie Piotra. W Japonii tokijskie biuro Funduszu Ludnościowego ONZ każdemu z siedmiomiliardowych niemowląt wydało potwierdzający ten fakt certyfikat, a rodziny noworodków poproszono, by przedstawiły, „co zrobią dla swych dzieci i dla przyszłości świata”. Inicjatywa ta, jak wyjaśniano, jest częścią programu, który ma uzmysłowić opinii publicznej, jak wiele wyzwań wiąże się z szybkim wzrostem demograficznym.

Pytania postawione rodzicom rekordowych niemowlaków odzwierciedlają niepokój, z jakim przyjęto ów „historyczny moment”. Gdy w 1999 r. na świat przychodziło sześciomiliardowe dziecko, wydarzenie to świętował sam Kofi Annan, ówczesny sekretarz generalny ONZ, fotografując się w bośniackim szpitalu z malutkim chłopcem na rękach. Przed dwoma laty następca Annana – Ban Ki-moon – odmówił wzięcia udziału w pamiątkowym zdjęciu, gdyż, jak powiedział, „gwałtowny wzrost populacji ludzi nie jest powodem do świętowania. Oznacza to bowiem więcej głodujących i chorujących osób”. Dziś 13-letni Adnan Mevic (imię otrzymał po polityku) żyje z chorym ojcem i bezrobotną matką w ubóstwie.

MALTHUS A SPRAWA 7 MILIARDÓW

Czy niepokój, który budzi informacja o nowym rekordzie, jest uzasadniony? Wystarczy nieco „poobrać” w głowie owe 7 mld, by uświadomić sobie gigantyczność

tej rachuby. Mniej więcej co sekundę na świecie pojawia się 5 nowych ludzi (w tym samym czasie 2 umiera). W ciągu jednej godziny przybywa zatem ok. 11 tys. osób, a w ciągu doby – 260 tys. Od ostatniego obwieszczenia ONZ globalna liczba ludności zwiększyła się więc o ok. 110 mln – to tak, jakby na Ziemi pojawiło się państwo o populacji Meksyku.

O zawrót głowy przyprowadzają nie tylko same liczby, ale i tempo zmian – tylko 12 lat trzeba było, by na świecie przybył aż miliard ludzi. Rzut oka na historię pokazuje, jak szybko glob, niczym kula śniegowa, przybierał z każdym swym obrotem. Jeszcze w 1800 r. zamieszkiwało go około miliarda ludzi. Po 127 latach, w 1927 r., były to już 2 mld. Na kolejny miliard potrzeba było 33 lat (1960), a potem już tylko 14 – w 1974 r. było nas 4 mld, by po następnych 13 latach (1987) liczba ta zwiększyła się do 5 mld. Oznacza to, że w ciągu 200 lat liczebność mieszkańców Ziemi pomnożyła się aż sześciokrotnie! Gdyby dynamikę tę traktować jako wiarygodny wskaźnik przyszłej populacji, oznaczałoby to, że spór o obywatelstwo ośmiomiliardowego noworodka odnowi się znów około roku 2025.

Powyższe liczby same w sobie nie muszą być niczym alarmującym. Jeśli w ich eksplozycznych przeobrażeniach coś skłania do niepokoju, to żadne słowo nie podsumowuje tego lepiej aniżeli „przeludnienie” i związane z nim w oczywisty sposób pytanie: czy nasza planeta jest dziś przeludniona? By na nie odpowiedzieć, cofnijmy się o 200 lat, bo choć z gwałtownym przyrostem naturalnym zaczęliśmy mieć do czynienia na dobre w latach 60. XX w., to problem został postawiony już w wieku XIX, a więc wtedy, gdy pod względem populacji całość globu przedstawiała się mniej więcej jak Indie przed dekadą.

Co mamy na myśli, mówiąc o przeludnieniu? Nie jest to oczywiście fizyczna niemożliwość pomieszczenia się na powierzchni kuli ziemskiej – idąc za obliczeniami „National Geographic”, gdybyśmy wszyscy stanęli obok siebie ramię przy ramieniu, zgromadzona w ten sposób ludzkość zajęłaby powierzchnię dzisiejszego Los Angeles. W najbardziej rozpowszechnionym mniemaniu przeludnienie to nadmierna koncentracja ludności na danym obszarze, której towarzyszą negatywne zjawiska, takie jak bardzo złe warunki bytowe czy wysokie ryzyko epidemii. W tym sensie o przeludnieniu nie decyduje sama gęstość zaludnienia. W sensie właściwym przeludnienie to stan, w którym liczba ludzi przekracza pojemność środowiska, czyli narusza równowagę biocenotyczną do takiego stopnia, w którym zaczyna ono hamować

dalszy wzrost populacji. Mówiąc w skrócie, przeludnienie ma miejsce wtedy, gdy liczba ludzi jest na tyle duża, że środowisko nie jest w stanie już utrzymać jej przy życiu, najczęściej z powodu braku dostępnej żywności.

Po raz pierwszy na możliwość realizacji takiego scenariusza uwagę zwrócił w 1798 r. angielski ekonomista Thomas Malthus. Jego obserwacja była bardzo prosta. Mamy do czynienia z rozbieżnością dwóch procesów: podczas gdy z uwagi na niepohamowaną prokreację liczba ludzi zwiększa się w sposób geometryczny, produkcja pożywienia – ograniczona ilością ziemi – przyrasta w tempie co najwyżej arytmetycznym. Jeśli procesy te pozostają bez jakiegokolwiek kontroli, szybko prowadzą do stanu przeludnienia, w którym znaczna część ludzkości nie ma dostępu do żywności. Regulacja rozkalibrowanego mechanizmu następuje w sposób gwałtowny i dramatyczny przez głód, choroby i wojny. „Epidemie, zarazy i pomory (...) przyniosą tysiące i dziesiątki tysięcy ofiar. Jeśli to nie przyniesie skutku, gigantyczna nieunikniona plaga głodu (...) jednym potężnym uderzeniem wyrówna poziom ludności z poziomem żywności”.

Czy przedstawiony obraz jest prawdziwy? Diagnoza Malthusa miała bardzo krótką datę ważności. Przyjmuje się, iż stworzony przez niego model po raz pierwszy przestał odpowiadać rzeczywistości już ok. 1800 r. w Wielkiej Brytanii, później dołączyły do niej inne państwa. Powód był równie prosty, co niespodziewany – rewolucja przemysłowa przyniosła niebywały wzrost produkcji, będący w stanie zaspokoić potrzeby żywieniowe rosnącej liczby ludzi.

Zauważmy jedną rzecz: przeludnienie ma charakter względny – nie istnieje żadna określona wielkość populacji, której przekroczenie byłoby jego nieuchronnym symptomem. Wystąpienie przeludnienia zależy bowiem nie od samej liczby ludzi, ale od tego, w jakim stosunku pozostaje ona do pojemności planety, a więc w najczęściej rozpatrywanym przypadku – do zakresu możliwości produkcji żywności. Z tego względu istnieją dwa sposoby zapobiegania temu zjawisku: albo przez ograniczenie przyrostu naturalnego, albo przez wzmacnianie produktywności planety. Malthus, przekonany o statycznym charakterze zasobów, proponował pierwsze rozwiązanie jako, ze swojego punktu widzenia, jedynie dostępne. Jego zdaniem ludzkość sama powinna troszczyć się o stan swojej liczebności przez praktykowanie „wstrzemięźliwości moralnej”: późne zawieranie małżeństw, abstynencję seksualną osób niebędących w stanie utrzymać swojego potomstwa oraz powstrzymywanie

się od publicznej pomocy na rzecz niższych warstw społeczeństwa.

Rewolucja przemysłowa zamknęła diagnozy Malthusa w poprzedniej epoce. A sama przeniosła nas do nowej, w której postęp produkcji, ten sam, który odsunął czarny scenariusz przeludnienia w niebyt, stał się przyczyną takiego przeobrażenia świata, w sensie demograficznym i eksploatacyjnym, które ponownie wskrzesiło jego widmo. Neomaltuzjańskie recepty, pojawiające się od połowy XX w. po dziś, powtarzają tezę o konieczności ograniczenia populacji. W *The Population Bomb* (1968) Paul R. Ehrlich, przewidując klęskę głodu spowodowaną przeludnieniem, postulował ograniczenie przyrostu naturalnego za pomocą środków fiskalnych oraz wprowadzenie szerokiej kontroli urodzeń, nie wykluczając przy tym przymusowej sterylizacji. Podobne remedia propagował wpływowy raport Klubu Rzymskiego *Granice wzrostu* (1972), w związku z eksplozją demograficzną i wyczerpywaniem się zasobów prognozując katastrofę przeludnienia w ciągu 100 lat. Neomaltuzjanizm zaczął inspirować politykę państw zachodnich uznających iż, bezrobocie, głód i dziedziczenie nędzy w krajach Trzeciego Świata mają swoją główną przyczynę w nieopanowanym wzroście populacji. W 1980 r. powstał raport *Global 2000 (The Global 2000 Report to the President)*. W jego konkluzji pisano: „Jeśli utrzymają się aktualne trendy, świat w 2000 r. będzie bardziej zatłoczony i zanieczyszczony, mniej stabilny ekologicznie i bardziej podatny na zaburzenia niż świat, w którym żyjemy dzisiaj. Wyraźnie dostrzegamy poważne problemy związane z liczbą ludności, zasobami i środowiskiem, do których zmierzamy. Pomimo większej produkcji materialnej ludność świata będzie uboższa w wielu dziedzinach. Dla setek milionów osób w skrajnej biedzie perspektywa zaspokojenia głodu i innych potrzeb życiowych nie poprawi się. Dla wielu się pogorszy”.

ROSNĄCA POPULACJA, MAŁEJĄCA DZIETNOŚĆ

Czy świat *Anno Domini* 2013 rzeczywiście odpowiada tej pesymistycznej perspektywie? 7 mld, obwieszczone ponad rok temu, z pewnością nie na długo pozostanie liczbą ludzkości. Wedle większości prognoz do 2050 r. liczba ludzi zwiększy się do 9 mld, a w perspektywie stulecia – nawet do 10 mld. Wbrew rozpowszechnionym

opiniom to nie w Azji mamy do czynienia z największą eksplozją demograficzną. Przyrost naturalny najszybciej postępuje w Afryce i obecnie tylko w części Subsaharyjskiej wynosi 2,5% (dla porównania: w Europie i Azji Środkowej łącznie jest to 0,45%). W samym Lagos, stolicy Nigerii i najliczniejszym mieście Afryki, każdego roku przybywa aż 275 tys. mieszkańców.

Prognozy populacyjne pomijają jeden znaczący fakt – że choć ludzie wciąż przybywa, to globalny przyrost ludności wyhamowuje i nawet jeśli ta osiągnie pułap 10 mld, to najpewniej na nim się zatrzyma

Zmieni się również struktura zamieszkania. W 2008 r. po raz pierwszy w historii więcej ludzi mieszkało w miastach niż na terenach wiejskich. Zmiany te najprawdopodobniej się utrzymają i w połowie obecnego stulecia w miastach będzie żyć 70% ludzkości. Przeobrażenia można jednak obserwować już teraz. W 1975 r. na świecie istniały trzy *megacities*, czyli miasta o liczbie mieszkańców powyżej 10 mln – Tokio, Nowy Jork i Meksyk. Obecnie mamy ich aż 27, pośród których 21 liczy więcej niż 20 mln mieszkańców. Tendencja ta, także obecnie, nasila negatywne zjawiska związane ze zbyt wysoką gęstością zaludnienia.

Prognozy populacyjne: zwykle przyjmowane z zaniepokojeniem – pomijają jeden znaczący fakt: że choć ludzie wciąż przybywa, to jednak globalny przyrost ludności wyhamowuje i nawet jeśli osiągnie pułap 10 mld, to najpewniej na nim się zatrzyma. Malthus pomylił się także w tym aspekcie. Rewolucja przemysłowa wraz z idącymi za nią przeobrażeniami cywilizacyjno-społecznymi nie tylko zrewolucjonizowała produkcję żywności, ale zadziałała również jak bomba depopulacyjna – choć z opóźnionym zapłonem. W 1800 r. najniższy współczynnik dzietności (liczba urodzonych dzieci przypadających na kobietę w wieku rozrodczym) w Europie występował w Danii i wynosił... 4. We wszystkich pozostałych krajach był wyższy. Po I wojnie światowej w większości krajów Europy zachodniej był już niższy niż 3, a obecnie Stary Kontynent wygląda jak pobojuwisko – niemal we wszyst-

kich krajach (nawet przy uwzględnieniu gigantycznej emigracji z innych kontynentów) jest on niższy niż 2, czyli nie utrzymuje się na poziomie zapewniającym zastępowalność pokoleń.

Co najbardziej ciekawe, ten sam trend zawojował niemal cały świat – wbrew temu, co często stereotypowo dziś o nim myślimy. Jeszcze w latach 60. XX w. w Indiach przypadało na kobietę ok. 6 dzieci (obecnie jest to 2,6), w Wietnamie współczynnik ten wynosił 7,4 (dziś 1,8), w Bangladeszu 6,8 (dziś 2,2). Podobną transformację przeszły kraje arabskie, tradycyjnie postrzegane jako społeczności oparte na wielodzietnych rodzinach: Egipt – 6,7 (2,7), Arabia Saudyjska – 7,2 (2,7), Iran – 6,9 (1,6). W konsekwencji w ciągu ostatnich 50 lat światowy przyrost naturalny spadł z 2,33% do 1,15%. Jednym słowem, jeśli mniej więcej do lat 60. XX w. Zachód stanowił samotną wyspę małodzietności, to obecnie urosła ona do rangi największego kontynentu – 80% populacji żyje w krajach, gdzie na kobietę przypada do 2 dzieci.

BARDZO POWAŻNY „MOŻLIWISTA”

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Skąd bierze się popłoch na wieść o 10 mld ludzi mających żyć na Ziemi w 2100 r.? Niewątpliwie należy zdawać sobie sprawę z tego, że wspomniane przeobrażenia to tylko (?) zwalnianie biegu. A to znaczy, że chociaż biegniemy trochę wolniej, jednak cały czas biegniemy. Demograficzni pesymiści chcieliby, by bieg ten przeszedł w końcu w trucht. Dlaczego?

Przyczyna, dla której podnosi się kwestię obniżenia wielkości populacji, tkwi jak zwykle w szczegółach. W tym wypadku chodzi o to, iż największą dzietność i największy przyrost naturalny spotykamy tam, gdzie wskaźniki PKB *per capita* są najniższe. Choćby w Afryce Subsaharyjskiej (ale nie tylko) średnia dzietność waha się między 4,5 a 6, przyrost naturalny utrzymuje się na poziomie 2,53%, a PKB nawet w najlepszych przypadkach nie przekracza 2 tys. dolarów. Oznacza to, że każdego roku miliony ludzi rodzą się tam w nędzy.

To nieszczęśliwe małżeństwo biedy i dzietności ciekawie przedstawia profesor zdrowia międzynarodowego zajmujący się zagadnieniami demografii Hans Rosling. Rzeczą kluczową, jego zdaniem, jest zrozumienie przemian, jakie nastąpiły na przestrzeni ostatnich kilku dekad. W latach 60. XX w. mieliśmy do czynienia z prostym podziałem – 1 mld mieszkańców zachodniego, bogatego świata stał naprzeciw 2 mld biedoty w krajach

rozwijających się. Obrazowo ówczesne różnice można wyrazić, jak uczynił to podczas jednego ze swych wystąpień sam Rosling, przez symbole aspiracji materialnych obu światów – klapki po stronie krajów biednych i samochód po stronie Zachodu. Dziś demografia świata wygląda inaczej – przybyły mu 4 mld ludzi – i inaczej wygląda też struktura zamożności. 1 mld to Zachód, jeszcze bogatszy niż w latach 60., który może sobie już pozwolić na podróż samolotem. Kolejne 4 mld to kraje, niegdyś nazywane rozwijającymi się, a dziś będące tzw. wschodzącymi gospodarkami, które powoli dołączają w poziomie życia, a przede wszystkim w aspiracjach, do Zachodu sprzed półwiecza – połowa z nich jest dzisiaj „na poziomie” samochodu, połowa – „na poziomie” roweru i motocykla. We wszystkich tych krajach ludzie są zdrowi, stosunkowo dobrze wykształceni i mają po 2–3 dzieci. Największą bolączką świata jest to, że 2 mld ludzi, które przed 50 laty tkwiły w biedzie, na poziomie marzeń o butach, pozostają w niej nadal i to wśród nich rodzi się najwięcej dzieci. To oni żyją za mniej niż 2 dolary dziennie i w największej mierze zasilają tragiczne 13% ludzkości niemającej dostępu do czystej wody i 38% pozbawione niezbędnej higieny. Choć do świata dołączyły 4 mld ludzi, bogactwo nie uległo przez to równiejszemu podziałowi, wręcz przeciwnie – dystans między najbiedniejszymi a najbogatszymi jest dziś większy niż dawniej. Jak między klapkami a samolotem.

Świat stawia przed nami zadanie – wyprowadzić owe 2 mld z biedy. Jeśli tego nie zrobimy, liczba ludzi żyjących w nędzy będzie się powiększać. Jak tego dokonać? Wspomniany wcześniej trend dzietnościowy przedstawia dwie bardzo ważne korelacje. Po pierwsze, dzietność ma wyraźny związek ze śmiertelnością dzieci. Im więcej dzieci przypada w danym kraju na kobietę, tym większa jest wśród nich śmiertelność. W Afryce Subsaharyjskiej, gdzie jest ona największa, następuje też największy wzrost populacji. Ma to co najmniej dwie przyczyny: psychologiczną – śmierć jednego dziecka kompensowana jest przez narodziny kolejnego, i ekonomiczną – we wspomnianych krajach dzieci muszą podejmować pracę na równi z dorosłymi, z czego wynika, że im więcej dzieci się posiada, na tym większy zarobek można liczyć, co zwiększa szanse przeżycia całej rodziny. W Nigrze na 1000 urodzonych dzieci w wieku 0–5 umiera 205, w Polsce – 9.

Druga zależność dotyczy relacji, w jakiej dzietność pozostaje do zamożności mierzonej przez poziom PKB

per capita. Można zaobserwować wyraźną tendencję: im państwo zamożniejsze, tym mniejsza ilość dzieci przypada na kobietę. Zależność ta jest zaskakująco stała i niezależna od czynników takich jak religia czy kultura, choć i tutaj znajdują się wyjątki, jak np. Bangladesz, gdzie dzietność jest niemal taka sama jak w USA, chociaż dochód *per capita* tego pierwszego stanowi 4% dochodu *per capita* drugiego.

Czy bycie bogatym musi się wiązać z małą rodziną? Wydaje się, że i w tym przypadku można znaleźć co najmniej dwojakiego rodzaju przyczyny – od strony psychologicznej zjawisko to można by ująć jako „kurczenie się bogatego serca”: niechęć do podzielenia się dochodem z większą ilością dzieci, gdyż oznaczałoby to konieczność obniżenia własnego poziomu życia. Nie zawsze musi to być jednoznacznie egoistyczne. W bogatszych społeczeństwach zasadniczej zmianie ulega wizja tego, co oznacza dobre, godne życie – jeśli u biednych jest to po prostu możliwość przeżycia, wraz ze wzrostem PKB zaczyna ono obejmować kolejne sfery – zdrowie, wykształcenie, status materialny. Ponieważ osiągnięcie tych wartości kosztuje, a w państwach bogatszych dzieci nie pracują, konieczność pokrycia tych kosztów spada wyłącznie na rodziców. Wiedząc, że nie mogą wartości tych zapewnić większej liczbie dzieci, nie decydują się na nie. To decyzja motywowana nie tylko ekonomicznie – przy uwzględnieniu nowej wizji godnego życia koszt posiadania potomstwa znacząco wzrasta – ale i moralnie – w społeczeństwach rozwiniętych podjęcie decyzji o posiadaniu kolejnych dzieci z wiedzą, iż nie jest się w stanie zapewnić im np. opieki zdrowotnej, a dla niektórych może i nawet wykształcenia, jest postrzegana jako nieodpowiedzialność.

Co można zrobić, znając oba rodzaje zależności? Nawet jeśli istnieją na świecie kraje o dużej śmiertelności, w których przeżywa tylko czworo dzieci na sześć, to i tak w następnym pokoleniu liczba mieszkających w nich ludzi się podwoi. Żeby temu zapobiec, Rosling proponuje... zmniejszenie śmiertelności. Czy to oznacza, że będzie teraz przeżywać sześć dzieci na sześć? Nie, gdyż jak pokazuje przykład krajów rozwiniętych, ograniczenie śmiertelności dzieci idzie w parze z ograniczeniem ich liczby w ogóle. Z interferencji dwu wspomnianych rodzajów zależności wynika prosty wniosek: jeden skutek (mniejszą dzietność) mają jednocześnie dwa procesy – wzrost przeżywalności dzieci i wzrost PKB *per capita*. A to oznacza, że mniej dzieci rodzi się tam, gdzie więcej ich przeżywa, przeżywa ich zaś więcej

tam, gdzie wyższy jest poziom rozwoju. Chcąc zmniejszyć populację, należy sprawić, by rozwój był udziałem najbiedniejszych.

Sama gospodarka oczywiście nie wystarczy, ale jest niezbędną podstawą, za którą idą przeobrażenia społeczne i kulturowe. Przede wszystkim dotyczą one uczestnictwa kobiet w rynku pracy i edukacji. Tam gdzie państwa rozwijają się ekonomicznie, do pracy przestają chodzić dzieci, a zaczynają kobiety, zyskując dzięki temu niezależność ekonomiczną. Dłużej i gruntowniej też się kształcą oraz później wchodzi w związki małżeńskie. Jeśli dołączyć do tego dostępność i świadomość metod planowania rodziny, w efekcie uzyskuje się małą dzietność połączoną z wysoką przeżywalnością i wyższym poziomem życia.

Jeśli uda się osiągnąć powyższy cel, 2 mld najbiedniejszych ma szansę wydostać się ze swojej nędzy. Zmiany, o których mowa, nie następują jednak skokowo, a już dziś wiemy, że przy obecnym tempie przyrostu naturalnego najbiedniejsza część świata podwoi swoją liczebność. Jeśli za 100 lat będzie ona tam, gdzie dziś są choćby kraje marzące o rowerze i motocyklu, wielkość światowej populacji ustabilizuje się w najbliższym stuleciu na poziomie 9–10 mld.

„Czy to się stanie? – pyta Rosling. – Nie jestem optymistą, ale nie jestem też pesymistą. Jestem bardzo poważnym »możliwistą« [*possibilist*]. To nowa kategoria, w której odsuwamy na bok emocje i pracujemy ze światem analitycznie. To się da zrobić. Możemy mieć znacznie sprawiedliwszy świat”.

CEL CZY SKUTEK UBOCZNY?

W argumentacji Roslinga łatwo przeoczyć pewną zmianę akcentu. Mianowicie celem proponowanych działań jest ostatecznie ograniczenie nie wielkości populacji, lecz wielkości nędzy. Nie chodzi o to, żeby zmniejszyć liczbę ludzi na Ziemi, ale żeby podnieść poziom ich życia. To, że przy okazji wydzwignięci z biedy ludzie sami zmniejszają swą dzietność, jest zagadnieniem osobnym. Spadek populacji nie jest tu celem, tylko skutkiem ubocznym.

Ma to swoje konsekwencje dla problemu przeludnienia. Ubodzy ludzie na Ziemi są liczni, dlatego że są ubodzy (potrzebują wielu dzieci do pracy, żeby ich rodziny mogły przeżyć), a nie dlatego są ubodzy, że są liczni. Z tego powodu w przypadku tych krajów nie może być mowy o przeludnieniu, nawet w słabszym sensie,

„Nie chodzi o to, żeby zmniejszyć liczbę ludzi na Ziemi, ale żeby podnieść poziom ich życia. To, że przy okazji wydzwignięci z biedy ludzie sami zmniejszają swą dzietność, jest tylko skutkiem ubocznym”

w którym zbyt duża liczba ludzi stanowi przyczynę nie-możliwości życia na godnym poziomie. Wielkość populacji jest tu bowiem nie przyczyną, ale skutkiem biedy.

O przeludnieniu nie może być jednak również mowy w sensie ścisłym, gdy z powodu zbyt dużej populacji równowaga środowiskowa naruszona zostaje do tego stopnia, że nie jest w stanie już utrzymać ludzi przy życiu. Zwykle rozważa się ten problem w odniesieniu do zasobów żywności. Ale z coroczną produkcją zbóż na poziomie 2,3 mld ton Ziemia jest dzisiaj w stanie wyżywić wszystkich swoich mieszkańców. Więcej, taką ilość mogłaby wykarmić nawet populację dziesięciomiliardową. Z powodu głodu cierpi dziś jednak ok. 900 mln ludzi. Przyczyna leży bowiem nie w wielkości populacji, lecz w globalnej niegospodarności – wedle obliczeń FAO na świecie wyrzuca się 1,3 mld ton jedzenia (1/3 całej produkcji): na Zachodzie z marnotrawstwa, w krajach rozwijających się z powodu zbyt wysokich kosztów przechowywania i transportu.

Mimo to można dziś mówić o rozchwianiu światowego ekosystemu, które w przyszłości może doprowadzić do katastrofy w postaci zmian klimatycznych, wyjałowienia gleb czy braku wody. Gdyby tak się stało, planeta rzeczywiście może nie być w stanie utrzymać obecnej populacji ludzi, nie wspominając już o większej. Zauważmy jednak, że na obecnym etapie problem ten nie jest związany z liczbą ludzi na Ziemi, tylko z rozpowszechnionym modelem jej wykorzystywania. Także mały procent światowej populacji może spowodować na nas to nieszczęście.

W kontekście zagrożeń wynikających z osiągnięcia przez populację Ziemi liczby 7 mld „National Geographic” promował hasło: „Nie potrzebujemy przestrzeni, lecz równowagi”. Złośliwie można zauważyć, że z równowagą mamy do czynienia także wówczas, gdy syty z powodzeniem balansuje na wychudzonych ramionach nędzarza. A tak właśnie przedstawia się sytuacja, gdy idzie o strukturę udziału w wykorzystywaniu planety. Przeciętny Amerykanin zużywa 280 razy więcej energii niż mieszkaniec Bangladeszu, a całe USA z 314 mln mieszkańców emitują rocznie tyle samo dwutlenku węgla, co łączna

populacja Indii, Rosji, Indonezji, Brazylii, Pakistanu, Bangladeszu i Iranu, czyli niemal 2,2 mld ludzi. Mowa o przeludnieniu jako przyczynie zagrażającej równowadze planety, jeśli wypowiada ją przeciętny mieszkaniec Zachodu (czytaj: konsument połowy światowej energii), jest zwyczajną hipokryzją.

Rzeczywistym wyzwaniem, jakie przed nami stoi, jest wcielenie w życie takiego modelu rozwoju, który byłby najmniej inwazyjny dla naszej planety. To konieczność – nie tylko w perspektywie obecnej, ale i w oczekiwaniu na 3 mld ludzi, które do nas dołączą. Tym bardziej że w międzyczasie świat nie będzie stał w miejscu – ludzie ze wschodzących gospodarek dogonią dzisiejszy peleton PKB, wsiądą do swoich SUV-ów, a część być może do samolotów, i zaczną użytkować planetę na dużo większą niż dotychczas skalę.

Parafrazując, można powiedzieć: nie potrzebujemy równowagi, potrzebujemy sprawiedliwości i solidarności. Dziś mamy nie zbyt wielu ludzi, tylko zbyt wielu zbyt rozpasanych konsumentów. Jeśli trzeba ograniczać liczebność, to tych ostatnich, nie pierwszych. Nawet gąpiący przyrost naturalny nie jest bowiem tak groźny jak „nie-naturalny” przyrost eksploatujących środowisko „na krechę”.

Zgódźmy się: Ban Ki-moon ma rację, iż więcej ludzi na Ziemi to więcej głodnych i chorych. Ale rozwiązaniem nie jest zmniejszenie liczby ludzi. To tak jakby walczyć z arytmią serca przez usunięcie serca. Mniej głodnych i chorych ludzi będzie wtedy, gdy na Ziemi będzie mniej głodu i chorób – nie zaś mniej ludzi. Jedyne, co nam pozostaje, to trywialna w rozpoznaniu, a jednak paraliżująca międzynarodową wolę walka ze skandaliczną nędzą trawiącą najuboższe 2 mld. Jeśli ją wygramy, to – jak pokazuje dziś przykład wielu krajów – wzrost populacji ustabilizuje się „przy okazji”.

I zgódźmy się jeszcze do jednego – to naprawdę jest możliwe.

Pułapka danych statystycznych

– przypadek świata arabskiego

KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA

Świat arabski wywołuje w nas całą gamę negatywnych uczuć: strach przed terroryzmem, litość w stosunku do pokrzywdzonych kobiet, poczucie zagrożenia islamizacją rozumianą nie tyle w wymiarze ideologicznym, ile ilościowym. Część z tych wątpliwości ma podłoże demograficzne i właśnie odwołując się do danych z zakresu demografii, można je jeżeli nie rozwiązać, to na pewno osłabić

Analizując realia społeczne (w tym demograficzne), często sięgamy do danych statystycznych jako twardych i niepodważalnych informacji o rzeczywistości. Nie są one subiektywne, a tym samym wydają się oferować pewien punkt odniesienia, a nawet fundament do opisu stanu obecnego i prognoz. W przypadku państw zachodnich pogląd taki wydaje się uzasadniony, znacznie trudniej jest go podtrzymać w przypadku wielu innych części świata. Bo czy rzeczywiście można określić strukturę zgonów np. w Mali

z podziałem na przyczyny? Trudno sobie wyobrazić, że w kraju zamieszkanym przez wiele grup etnicznych, wśród których nie brakuje nomadów, każdorazowo określana jest przyczyna śmierci, a następnie rejestrowana w odpowiednim spisie. Czy można ustalić poziom analfabetyzmu funkcjonalnego w Egipcie, skoro dotyczy on umiejętności praktycznych związanych z życiem w nowoczesnym społeczeństwie? A nawet – czy istnieją dane, niebędące jedynie szacunkami, które opisują strukturę religijną współczesnego Libanu? Wszak



Al-Kaaba – najważniejsze święte miejsce islamu, gdzie mieści się „Czarny kamień” (Hadżar). Według legendy ten święty kamień został tu przyniesiony przez archanioła Gabriela i przekazany Abrahamowi – będąc pierwotnie nieskalanie białym, miał zmienić barwę na czarną pod wpływem wchłaniania w siebie grzechów i zmywania win składających mu hołd pielgrzymów | FOT. ALAA BADARNEH/EPA/PAP

ostatni spis powszechny odbył się w 1932 r., i to właśnie ze względu na strukturę religijną¹ nikt go od tamtego czasu nie powtórzył. Brak danych – ze względu czy to na trudności w ich pozyskaniu na etapie rejestracji, czy też na poziomie dostępności – podaje niekiedy w wątpliwość międzynarodowe zestawienia.

W przypadku badań sondażowych sytuacja jest jeszcze trudniejsza. Choć coraz częściej publikowane są wyniki sondaży realizowanych głównie przez wielkie międzynarodowe ośrodki badawcze, to i w tym wypadku należy podchodzić do nich ostrożnie. Można bowiem domniemywać, że w dobranych próbach reprezentowana jest przede wszystkim ludność z terenów zurbanizowanych. Na wyniki wpływać mogą także różnice językowe oraz kultura polityczna i związany z nią brak doświadczeń w jawnym przedstawianiu swoich poglądów². Z tego powodu ponad połowa Pakistańczyków pytana w 2007 r. o to, kto był autorem zamachów z 11 września 2001 r. w USA, odpowiadała, że nie ma zdania, a z 28%, którzy wiedzieli, niemalże połowa nie chciała powiedzieć kto³, mimo że ponad 50% badanych dwa lata wcześniej miało duże bądź średnie zaufanie do Usamy Ibn Ladina⁴.

SIŁA INTERPRETACJI

Moglibyśmy założyć, że dysponujemy w miarę rzetelnymi i wiarygodnymi danymi, pojawia się jednak drugi problem – ich doboru. Jednym z ostatnich głośnych przykładów jest artykuł Amerykanki pochodzenia egipskiego Mony Eltahawy w majowym „Foreign Policy”. Autorka przedstawiała w nim mizoginię świata arabskiego, posilając się danymi statystycznymi. I tak: ponad 90% Egipcjanek zostało poddanych obrzezaniu, 41 tys. dziewcząt poniżej 18. roku życia zostało wydanych za mąż w Maroku w 2010 r., 55% Jemenek nie czyta i nie pisze, 79% nie pracuje, a tylko jedna zasiada w parlamencie. W Arabii Saudyjskiej, której Eltahawy poświęciła cały akapit, kobiety nie mogą prowadzić samochodu i nie mają praw wyborczych⁵.

Dobór danych statystycznych służy podbudowaniu tezy o wszechobecnej dyskryminacji kobiet. Ale przecież można ukazać zupełnie inny obraz. Obrzezanie kobiet w państwach arabskich istnieje wyłącznie w dwóch krajach – Egipcie i, w mniejszym stopniu, w Jemenie. Odsetek dziewcząt zamężnych przed ukończeniem 18. roku życia przewyższa próg 10% jedynie w Jemenie⁶ – najuboższym i najsłabiej zurbanizowanym państwie arabskim (można zastanawiać się, czy dziew-

czyna mieszkająca na wsi, niechodząca do szkoły i niepracująca, której jedyną nadzieją na lepsze życie jest zostanie żoną i matką, powinna czekać, aż się zestarzeje, czy wyjść za mąż, gdy jeszcze jest młoda i ma większe szanse na lepszego partnera – nie wszystkim spodoba się taki opis, ale zdaje się, że wiernie oddaje tamtejsze realia). Pozostałe przykłady podane przez Eltahawy można podobnie odwrócić⁷, a nawet okraścić dodatkowymi danymi. Np. tymi, które mówią, że w Polsce liczba gwałtów na 100 tys. osób wynosiła w 2008 r. 4,2, podczas gdy w Egipcie ten współczynnik wynosił 0,1, w Syrii 0,8, a w Jemenie – 0,7⁸. Czy to znaczy, że kobiety w Polsce mają znacznie gorzej niż w państwach arabskich? Niekoniecznie – podane statystyki dotyczą gwałtów zgłoszonych na policję. Znowu do głosu dochodzą uwarunkowania kulturowe. I niebezpieczeństwo nadinterpretacji statystyk. Mimo to warto przedstawić kilka demograficznych danych statystycznych ukazujących świat arabski od innej, mniej znanej strony.

DEMOGRAFIA ŚWIATA ARABSKIEGO – FAKTY MAŁO ZNANE

Od 2001 r., jeżeli nie wcześniej, świat arabski wywołuje w nas całą gamę negatywnych uczuć: strach przed terroryzmem, litość w stosunku do pokrzywdzonych kobiet, poczucie zagrożenia islamizacją rozumianą nie tylko w aspekcie ideologicznym, ale też – co bywa często podkreślane przez opinię publiczną – ilościowym. Część z tych wątpliwości ma podłoże demograficzne i właśnie odwołując się do danych z zakresu demografii, można je jeżeli nie rozwiązać, to chociaż osłabić. Podam poniżej trzy przykłady.

Zacznijmy od dzietności, czyli demograficznego podłoża islamizacji. Niewątpliwie liczba dzieci przypadających na jedną kobietę w świecie arabskim jest wyższa niż na Zachodzie, co nie powinno chyba zaskakiwać, jeśli weźmiemy pod uwagę to, że w wielu państwach europejskich już dawno dzietność spadła poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Według danych Banku Światowego dzietność w Polsce kształtuje się na poziomie 1,4 dziecka na kobietę i należy do najniższych na świecie. Jednak i w niektórych państwach arabskich dzieci rodzą się stosunkowo rzadko: w Zjednoczonych Emiratach Arabskich wskaźnik dzietności wynosi 1,7; w Libanie – 1,8; a w większości pozostałych państw – od 2 do 2,5. Wyjątek stanowią Arabia Saudyjska, Jordania oraz Jemen, gdzie dzietność wynosi 5,1⁹. Przed-

stawione dane warto umieścić w szerszej perspektywie czasowej. Jeszcze w latach 70. na jedną Jemenkę przypadało ponad 8 dzieci, na Algierkę, Kuwejtke, Marokankę, Libijkę, Syryjkę, Jordanke, Saudyjkę i Omankę – po ok. 7. Najmniej rodziły wówczas Libanki, ale i tak było to prawie pięcioro dzieci na kobietę¹⁰. 40 lat przyniosło więc zasadnicze przemiany w tej kwestii. Przeobrażenia tego okresu wpłynęły też na inne czynniki demograficzne: wzrósł poziom wykształcenia, zwiększył się wiek zawierania związku małżeńskiego (por. niżej), zmniejszyła się śmiertelność *etc.* Killkanaście miesięcy temu, w ramach Arabskiej Wiosny Ludów, masowo wyszło na ulice arabskich miast pokolenie boomu demograficznego lat 70. To raczej z „darem demograficznym”, czyli nadreprezentacją w populacji osób w wieku produkcyjnym, dla których nie ma miejsc pracy, a nie z wysoką liczbą urodzeń, zmagą się obecnie region.

Przykład drugi dotyczy edukacji kobiet. Na poziomie podstawowym w większości państw, dla których istnieją dane, nabór dziewczynek jest taki sam jak nabór chłopców. Mniejsze szanse na pójście do szkoły podstawowej mają dziewczęta w Iraku (najpewniej ze względu na wojenną spuściznę) i Jemenie¹¹. Choć edukacja na poziomie podstawowym powinna być ogólnosiątkowym standardem, znowu warto wskazać na drogę, jaką przebyły państwa arabskie. Ślad po niej pozostawiają dane dotyczące analfabetyzmu, który w dorosłej populacji regionu jest dwukrotnie wyższy wśród kobiet niż wśród mężczyzn. Ciekawe są dane dotyczące dalszych szczebli edukacji. Okazuje się bowiem, że na poziomie studiów udział studentek jest często

zawodowo, a studia traktują jako przedmałżeńską przygodę intelektualną. Dostęp do edukacji wyższej kobiet utrudniony jest najbardziej w tych państwach, gdzie nabór na studia ogólnie jest niewielki. W tym sensie kobiety są poszkodowane, bowiem niski poziom rozwoju społecznego godzi przede wszystkim w nie.

Kolejnym zaskoczeniem może być przeciętny wiek zawierania związku małżeńskiego. Okazuje się, że mediana wieku mężczyzn zawierających związek małżeński w państwach Unii Europejskiej jest niewiele wyższa od tej w świecie arabskim (przeciętnie 29,9 lat w UE, 28,4 w świecie arabskim). Różnica między kobietami zawierającymi związek małżeński jest nieco większa (27,1 w UE i 24,9 w świecie arabskim). Jednak zestawienie wieku statystycznej Polki i Arabki wychodzących za mąż pokazuje, że ta druga jeszcze niedawno była pół roku starsza (dane dla Polski: mężczyźni – 26,5 lat, kobiety – 24,1)¹³. Najstarsi – Algierczyk, Libijczyk, Libańczyk, Marokańczyk i Tunezyjczyk skończyli 30 lat w momencie zawarcia pierwszego związku małżeńskiego, a ich partnerki mają od 26 do 29 lat¹⁴. Wysoki wiek mężczyzn wstępujących w związek małżeński może wynikać z realiów narzuconych przez kulturę muzułmańską. Mężczyzna zobowiązany jest bowiem do przekazania kobiecie w ramach kontraktu małżeńskiego daru ślubnego – mahru. Wysokość mahru ustalają zainteresowane strony, wyznacza ją także pozycja społeczna kobiety¹⁵. Jako że mahr stanowi o szacunku i oddaniu przyszłego małżonka, a co więcej jest zabezpieczeniem dla kobiety w przypadku rozwodu, jego wysokość często przekracza możliwości finansowe przeciętnego miesz-

Kraje arabskie zmagają się obecnie z tzw. darem demograficznym, czyli nadreprezentacją osób w wieku produkcyjnym, dla których nie ma miejsc pracy, nie zaś z wysoką liczbą urodzeń

wyższy albo znacznie wyższy niż studentów. Rekordzistkami są mieszkanki Kataru – na jednego mężczyznę na uczelni przypada ponad 5 kobiet¹². Oczywiście należy pamiętać, że mieszkańcy Zatoki mogą wyjeżdżać na studia zagraniczne, co ze względu na uwarunkowania kulturowe czynią głównie mężczyźni, jak również o tym, że większość absolwentek studiów nie zasilą rynku pracy, co ponownie uwarunkowane jest kulturowo – wiele kobiet nie widzi potrzeby, aby pracować

kańca świata arabskiego. Według danych przytoczonych przez Diane Singerman średni koszt zawarcia związku małżeńskiego w Egipcie wynosi wartość niemalże rocznych wydatków gospodarstwa domowego. Aby pokryć swój udział w kosztach małżeństwa, pan młody przekazuje średnio równowartość swoich 2–3-letnich zarobków¹⁶. Kobiety, choć statystycznie wchodzi w związek małżeński wcześniej niż mężczyźni, decydują się na ślub coraz później. Muszą bowiem czekać na to,



Karambol na autostradzie łączącej Abu Dhabi i Dubaj, w którym uczestniczyło 127 samochodów, spowodowany zderzeniem czołowym we mgle | FOT. AFP/EAST NEWS

aż ich wybrankowie zbierają niezbędne do zawarcia małżeństwa środki finansowe.

KULTURA MA ZNACZENIE

Dane statystyczne dotyczące zjawisk i procesów demograficznych w państwach arabskich mogą być niekiedy złudne, a ich odpowiednia interpretacja wymaga znajomości realiów kulturowych. Przyjrzyjmy się trzem przykładom. Przykład pierwszy: spożycie alkoholu wysokoprocentowego na osobę w Bahrajnie i Katarze jest ponad trzykrotnie większe niż w Polsce. Czy to znaczy, że tamtejsze społeczeństwa są bardziej liberalne, co mogłoby dziwić, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że w islamie alkohol jest zakazany? Przykład drugi: w niższych izbach parlamentów algierskiego, emirackiego i irackiego zasiada więcej kobiet niż w Polsce. Czyżby państwa te bardziej dbały o równouprawnienie kobiet? Przykład trzeci: w Zjednoczonych Emiratach Arabskich wiele osób ginie w wypadkach na drogach. Czyżby pojazdy albo autostrady były tam niskiej jakości?

Dane z przykładu pierwszego mogą zaskakiwać, zwłaszcza że Bahrajn i Katar są państwami Zatoki, które na tle innych państw regionu uważane są za bardziej konserwatywne. Należy jednak pamiętać, że oba kraje są

niewielkie, zamieszkuje je łącznie niewiele ponad 3 mln osób, a statystyki zawyżają przede wszystkim goście z pobliskiej Arabii Saudyjskiej, w której oficjalnie nie mogą kupić alkoholu¹⁷. Warto przy okazji obalić kolejny mit – determinizmu religijnego. Choć większość muzułmanów uważa, że alkohol jest zakazany, nie oznacza to, że każdy z nich jest abstynentem (tak samo jak nie zakładamy, że w populacji chrześcijan nie ma złodziei).

Przykład drugi również wymaga wyjaśnienia. Wysoki udział kobiet w parlamencie to wynik systemów kwotowych wprowadzonych niekiedy zewnętrznie – jak w Iraku w ramach procesu demokratyzacji, albo z przyczyn politycznych – jak w Algierii, gdzie kwota dla kobiet jest policzkiem dla muzułmańskich fundamentalistów, którzy najchętniej widzieliby je zamknięte w domach. Potrzebne pewnie będą długie lata, aby wysoki udział kobiet w parlamentach samoistnie się utrzymał. Przykład Egiptu pokazuje, że gdy tylko ogólny nakaz przestaje istnieć, udział kobiet w parlamencie wraca do swojego pierwotnego, minimalnego poziomu.

I wreszcie przykład trzeci – wypadki na drogach w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (a także szerzej w państwach Zatoki). ZEA należą do pierwszej piątki państw świata o najwyższej stopie zgonów w wypadkach. Przyczyn ich wysokiej liczby należy znowu upa-

trywać w potężnym zastrzyku środków finansowych związanym z eksportem ropy naftowej. Przełożył się on na poprawę infrastruktury oraz dobrobyt społeczeństwa. Zwiększającej się liczbie bardzo dobrych samochodów nie towarzyszyły jednak równie szybkie zmiany w postawach i nawykach kierowców. Dwie trzecie wszystkich wypadków drogowych w ZEA wynika z braku uwagi kierowcy lub nadmiernej prędkości¹⁸. W Arabii Saudyjskiej ponad 80% wszystkich zgonów w szpitalach przypada na ofiary wypadków na drogach. Większość z nich to motocykliści, którzy ignorowali podstawowe zasady obowiązujące na drodze, takie jak włączanie świateł w nocy, używanie kierunkowskazu przy skręcaniu czy zachowanie rozsądnej prędkości¹⁹. Istotnym problemem jest także *drifting*, czyli niebezpieczna, wręcz akrobatyczna jazda samochodem (zwana *tahfit*) będąca niekiedy jedyną rozrywką młodych ludzi.

* * *

Świat arabski budzi w nas wiele bardzo silnych emocji. Tym większa może być pokusa wybiórczego przedstawienia danych potwierdzających z góry przyjętą tezę. Warto o tym pamiętać, czytając doniesienia dotyczące Bliskiego Wschodu. Jednak przede wszystkim nie można tracić z oczu olbrzymiego zróżnicowania państw arabskich, które – ze względu na położenie geograficzne i wspólną dla większości mieszkańców religię – zwykliśmy wkładać do jednego worka.

¹ Religia w Libanie powiązana jest z polityką w tym sensie, że funkcjonuje tam system konfesyjny. Najważniejsze stanowiska w państwie obsadzone są przez reprezentantów największych społeczności religijnych. Prezydentem jest zawsze chrześcijanin maronita, premier to muzułmanin sunnita, a szef parlamentu – muzułmanin szyita. Proporcje te ustalone zostały na podstawie spisu powszechnego z 1932 r. Stąd nowy spis powszechny mógłby doprowadzić do nowych proporcji, a tym samym zmiany układu politycznego, zwłaszcza że według szacunków udział chrześcijan w populacji jest mniejszy niż w latach 30.

² Więcej na ten temat por. P. Kubicki, *Spółczesność islamu: system wartości oraz stosunek wobec Zachodu*, „Bliski Wschód: Społeczeństwa – Polityka – Tradycja”, 2004, nr 1, s. 98–99.

³ *Muslim Public Opinion on US Policy, Attacks on Civilians, and al Qaeda*. Program on International Policy Attitudes Uniwersytetu Maryland 2007, s. 17.

⁴ *Islamic Extremism: Common Concern for Muslim and Western Publics*, PEW Research Center, lipiec 2005, s. 6.

⁵ M. Eltahawy, *Why do they hate us?*, „Foreign Policy”, maj / czerwiec 2012, http://www.foreignpolicy.com/articles/2012/04/23/why_do_they_hate_us?page=0,0.

⁶ *Percentage of women aged 20–24 who were first married/in union before the age of 18*, ChildInfo, UNICEF, http://www.childinfo.org/marriage_countrydata.php.

⁷ O tym jak w: „Foreign Policy” o sytuacji kobiet w krajach arabskich? Dr Górak-Sosnowska: Jednostronnie i bez jakiegokolwiek „ale”, TOK FM, 25.04.2012, http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,102433,11613392_Foreign_Policy_o_sytuacji_kobiet_w_krajach_arabskich_.html.

⁸ *Rape at national level, number of police-recorded offences*, UNODC 2012.

⁹ *Fertility rate, total (births per woman)*, World Bank, <http://data.worldbank.org/indicator/SP.DYN.TFRT.IN>.

¹⁰ *Human Development Report* 2003, UNDP 2003, s. 271–273.

¹¹ *Ratio of female to male primary enrollment (%)*, World Bank, <http://data.worldbank.org/indicator/SE.ENR.PRIM.FM.ZS/countries>.

¹² *Ratio of female to male tertiary enrollment (%)*, World Bank, <http://data.worldbank.org/indicator/SE.ENR.TERT.FM.ZS/countries>.

¹³ Dane dot. UE i Polski pochodzą ze strony Eurostat, <http://epp.eurostat.cec.eu.int> i dotyczą 2000 roku.

¹⁴ *Progress of Arab Women One Paradigm, Four Arenas, and more than 140 Million Women*, UNIFEM, Arab States Regional Office, Egipt 2004, s. 145.

¹⁵ M. Zyzik, „Mahr” – dar ślubny w kulturze arabsko-muzułmańskiej, „Przegląd Orientalistyczny”, 2003, nr 3–4 (206–207), s. 200–201.

¹⁶ D. Singerman, *The Economic Imperatives of Marriage. Emerging Practices and Identities among Youth in the Middle East*, Middle East Youth Initiative Working Paper nr 6, Wolfensohn Center for Development & Dubai School of Government.

¹⁷ Alkoholu nie można także oficjalnie kupić w Libii, Kuwejcie i Sudanie. W niektórych państwach, jak ZEA, Katar czy Oman, alkohol dostępny jest wyłącznie w barach i restauracjach hotelowych posiadających specjalne licencje i / lub przeznaczonych wyłącznie dla rezydentów i turystów.

¹⁸ A. Bener, D. Crundall, *Road traffic accidents in the United Arab Emirates compared to Western countries*, „Advances in Transportation Study”, Section A, 2005, s. 5.

¹⁹ J. Matrin, *Arab Traffic Jam*, „The Middle East”, nr 354, marzec 2005.

■ KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA – adiunkt w Katedrze Socjologii Ekonomicznej KES, wykładowca na Wydziale Orientalistycznym UW, zajmuje się problemami społeczno-gospodarczymi świata arabskiego oraz islamem w Europie, członek redakcji „Warsaw Forum of Economic Sociology”, „Studia i Prace” oraz „Bliski Wschód”